

## POLOWANIE NA KACZKI

Pomijam milczeniem niektóre wesołe przypadki, które nas przy takich to okazjach spotykały, mam bowiem chętkę opowiedzieć wam, że zawsze lgnąłem do zacnych kompanów, którzy wolną, bezkresną leśną dziedzinę należycie umieją szacować.

Zdarzyło się, iż w jednej z moich myśliwskich wędrówek dotarłem do wiejskiego jeziora, po którym tu i tam pływało sobie kilkadziesiąt dzikich kaczek. Były jednak tak rozproszone, że nie mogłem położyć więcej niż jedną jednym strzałem. Na domiar złego ostał mi się tylko jeden nabój w mojej flincie. Zdałoby się jednak ustrzelić ich więcej, bom się wkrótce spodziewałem odwiedzin całej hurmy przyjaciół i znajomych. Nagle wpadło mi na myśl, że mam przecie w mej myśliwskiej torbie jeszcze jeden kawałek słoniny, który mi pozostał z zabranej na polowanie przekąski. Przywiązałem tedy słoninę do psiej smyczy, którą rozplotłem, co najmniej czterykroć ją podłużając. Co uczyniwszy, skryłem się w sitowiu, przy samym brzegu, wystawiłem mój kawałek słoniny na smyczy i ku mojej uciechu widzę, że najbliższą pływająca kaczka żwawo się doń zbliża i łyka. Za nią podpływają inne, gdy przywiązany do smyczy gładki kęs w nieprzetrawionym stanie szybko się z kaczki drugim końcem wysliznął, łyka go druga, trzecia i tak dalej po kolei. Mówiąc krótko, kęs przewędrował przez wszystkie kaczki, ani jednej nie ominąwszy, i nie odcepił się nawet od smyczy! Były na nią nanizane jak perły na sznurek. Przyciągnąłem je więc pięknie-ładnie do brzegu i owinąwszy się wokół ramion i piersi sześciokrotnie sznurem ruszyłem ku domowi. Drogi miałem jeszcze szmat przed sobą i męczyli mnie setnie ciężar tyłu kaczek. Wyrzucałem sobie już prawie, iż ich tyle połapałem. Wtedy przydarzyło mi się coś, co mnie w pierwszej chwili wprawiło w niemały ambaras. Kaczki bowiem były wszystkie jeszcze żywe i, otrząsnąwszy się z pierwszego oszołomienia, jęły krzepko bić skrzydłami, unosząc się ze mną wysoko w powietrze. Niejeden by się zatracił w podobnych okolicznościach, ja jednak wykorzystałem je, jak mogłem najlepiej, na mój pożytek. Jąłem bowiem wiosłować po powietrzu połamami mego kabata, w stronę domu się kierując. Gdym się tak w górze nad moim domem już znalazł, trzeba się było jakoś opuścić, szkody sobie nie czyniąc. Ukręciłem więc łeb jednej kaczce, potem drugiej, trzeciej i innym. I w ten sposób miarowo i łagodnie osunąłem się poprzez komin mego domu na sam środek kuchennego paleniska.

Pytania do tekstu:

- co uważasz i myślisz na temat niniejszego tekstu?
- Co jawi się w Twojej głowie?

## WIŚNIOWY JELEŃ

Bez wątpienia słyszeliście, o patronie strzelców i myśliwych, świętym Hubercie, jako też i o wspaniałym jeleniu z krzyżem świętym pomiędzy rogami, który mu się ongiś w lesie objawił. Pozwólcie więc, że wam opowiem o tym com na własne oczy widział. Kiedyś w trakcie polowania, gdym już cały mój ołów wystrzelał, wyskoczył na mnie niespodzianie najpiękniejszy w świecie jelen. Spojrzał mi w oczy tak, jakby go ani grzało, ani ziębiło nasze spotkanie zdawało się, że wie dobrze o mojej pustej ładownicy. Natychmiast nabiłem flintę prochem i pełną garścią pestek wiśniowych, które wyłuskałem z mięszu tak prędko, jakem tylko zdołał. I wpakowałem mu cały nabój w sam środek czoła, pomiędzy rogi. Strzał niemal go ogłuszył, zachwiał się, lecz umknął mi przecież. W rok czy dwa lata później znalazłem się znów na łowach w tymże samym lesie. I wyobraźcie sobie – zjawia się oto okazały jelen, a pomiędzy rogami ma drzewo wiśniowe, na dziesięć stóp wysokie albo i wyższe. Przypomniała mi się więc moja przygoda: ten jelen wydał mi się dawno należną zdobyczą, powaliłem go tedy jednym strzałem i miałem zeń pieczeń i sok wiśniowy naraz. Drzewo było bowiem bujnie okryte owocem tak rozpluwającym się w ustach, jakiegom nigdy dotąd nie jadł. Kto wie, czy nie w podobny sposób jakiś zapalony święty myśliwiec, miłujący łowy biskup czy opat, osadził krzyż pomiędzy rogami jelenia świętego Huberta?

## NIEDŹWIEDŹ

Innym razem, gdym krzemień z mej flinty wyśrubował, by go nieco naostrzyć, nagle zaryczał na mnie straszliwy, olbrzymi niedźwiedź. Wszystko, com mógł uczynić, to czym prędeż na drzewo wskoczyć i stamtąd sposobić się do obrony. Na nieszczęście, gdym się na drzewo wspinał, spadł mi na ziemię nóż, którego w właśnie używałem, i oto nie miałem nic, aby przykręcić przy gwincie strzelby śrubę, która i tak się ciężko obracała. Pod drzewem stał niedźwiedź i mógł się w każdej chwili tu do mnie wdrapać. Spoglądałem więc tęsknie na mój nóż, który tam, w dole, tkwił w śniegu na sztorc. Ale całe to tęskne spoglądanie nie pomogło mi ani trochę. W końcu strzelił mi do głowy niezwykły, a szczęśliwy pomysł. Skierowałem wprost na trzonek noża strumień płynu, którego w wielkim strachu ma się zawsze pod dostatkiem, a że mróz był wtedy wielki, płyn zamarł w jednej chwili i lód wydłużył mój nóż aż do dolnych gałęzi drzewa. Chwyciłem za trzonek i ostrożnie, bez wielkiego trudu wyciągnąłem nóż ze śniegu. Zaledwie jednak przykręciłem nim śrubkę, niedźwiedzisko wdrapało się na drzewo. – Zaprawdę, trzeba być mądrym jak niedźwiedź, by upatrzeć tak sposobną porę! -pomyślałem i uczestowałem jegomościa Burego kulami tak serdecznie, że mu wspinanie się na drzewa wybił ze łba na wieki wieków.

Pytania do tekstu:

- co uważasz i myślisz na temat niniejszego tekstu?
- Co jawi się w Twojej głowie?

## LEŚNA PORODÓWKA (ZAJĄCE I PSY)

Ongiś, gdy jamnik ten był jeszcze chartem – mimochodem powiedziawszy była to suka – puścił się więc za zającem, który mi się wydał gruby niezwykajnie. Żal mi się zrobiło mojej biednej suki, która była szczenna, a chciało jej się popisywać zwinnością. Ledwie mogłem za nią konno w wielkiej odległości nadążyć. Z nagła usłyszałem ujadanie całej chyba sfory psów, lecz tak słabe i tkliwe, że od razu pojął, co to znaczy. Gdym jednak podjechał bliżej, ujrzałem cud nad cudy. Zajęczycza porodziła w biegu małe zajączki, a moja suka – oszczeniła się. Do tego wszystkiego zajęcy było tyle, co psiaków. Gdy zające obyczajem zajęczym rzuciły się do ucieczki, suka ze szczeniętami nie tylko je gonić, ale je i schwytała. Ja zaś pod koniec polowania, które zaczajeni z jednym psem, miałem ich teraz sześć oraz sześć upolowanych zajęcy.

## TAŃCZĄCY KOŃ

Wspominam tę niepowседневną sukę równie mile, jak mojego bezcennego i znakomitego litewskiego wierzchowca. Los mi go nadarzył, abym przy tej okazji okazał z niemałą chwałą mą jeździecką sztukę. Właśnie wtedy w wielkich dobrach hrabiego Przebowskiiego na Litwie bawił i zapijałem w salonach z damami herbatę, panowie zaś zeszli na podwórzec, by obejrzyć pełnej krwi źrebca, którego właśnie ze stajen wyprowadzono. Z nagła usłyszeliśmy wołanie o pomoc. Zbiegam po schodach na dół i widzę źrebca tak nieujędzonego i dzikiego, iż nikt do niego ani zbliżyć się, ani go dosięść nie śmie. Najbardziej zdeterminowani jeźdźcy stoją strwożeni i zmieszani, lęk i niepokój mąci wszystkie spojrzenia, lecz ja jednym skokiem rzucam się na grzbiet konia i nie tylko tym niespodzianym skokiem go poskrabiam, ale przyprowadzam do posłuszeństwa i spokoju zażywając najlepszych forteli jeździeckiego kunsztu. Aby popisać się przed damami zmusiłem konia, by ze mną przez okno do salonu wskoczył. Okrążyłem go parękroć to stępą, to kłusem, to galopem, wreszcie skoczyłem na stół i przerobiłem na nim pokrótce całą szkołę jazdy, co damy niezwykajnie ubawiło. Młody rumak pokazywał wszystkie sztuki nad podziw zgrabnie, tak że nie stłukł żadnej filiżanki ani dzbanka. To postawiło mnie tak wysoko w łaskach dam i hrabiego, że ten z właściwą mu dwornością uprosił mnie, bym źrebca od niego przyjął w darze i na wyprawę przeciw Turkom, która wkrótce miała być pod dowództwem hrabiego Müncha rozpoczęta, po zwycięstwie i laury wyruszył.

Pytania do tekstu:

- co uważasz i myślisz na temat niniejszego tekstu?
- Co jawi się w Twojej głowie?

## JAZDA NA KULI ARMATNIEJ, PODRÓŻ NA KSIĘŻYC I INNE NIEZWYKŁE PRZYPADKI

Kawalerowi, który by chętnie dosiadł takiego, jak mój litewski wierzchowiec, konia, możecie zawierzyć jeszcze i taką jeździecką sztuczkę, choć może zda się wam ona czarodziejską, niezwykłą banialuką. Oblegaliśmy wtedy, nie pomnę już jakie, miasto i naszemu feldmarszałkowi wielce o to chodziło, by dowiedzieć się, co się dzieje w fortecy. Rzecz była trudna, niemożliwa prawie, jakże bowiem przedrzeć się do fortecy poprzez wszystkie czaty, strażę i mury obronne? Tym bardziej że nie było takiego chwata, co by się na taką rzecz ważył. Pełen męstwa i żołnierskiej gorliwości stanąłem natychmiast –kto wie, czy nie nazbyt prędko? – przy jednym z największych dział. A że dawano właśnie do twierdzy ognia, wskoczyłem w okamgnieniu na kulę armatnią, aby mnie do twierdzy przeniosła. Właśnie byłem w połowie drogi, w powietrzu, gdy opadły mnie wątpliwości niemałej wagi. Hm... łatwo się tam dostać, ale jak się wydostać z powrotem? Zaraz przecież wezmą mnie za szpiega i powieszą na pierwszej lepszej gałęzi. Po takich i podobnych rozważaniach szybko powziąłem pewne postanowienie i skorzystałem ze szczęśliwej sposobności, gdy kula armatnia z fortecy leciała o parę kroków przede mną, ku naszemu obozowi. Przeskoczyłem z kuli na kulę i, wprawdzie nie spełniwszy zadania, lecz zdrów i cały, powróciłem do kochanych towarzyszy broni. Równie jak ja biegły i zwinny w skokach był mój koń. Ani rów, ani płot żaden nie zmusił go, by z prostej drogi zjechał.

## WYCIĄGANIE Z BAGNA ZA WŁOSY

Kiedyś puściłem się na moim wierzchowcu za zającem, który przebiegał w poprzek szerokiego traktu. Karoca z dwoma pięknymi damami jechała właśnie drogą i znalazła się między mną a zającem. Mój koń przeskoczył tak szybko na przestrzal przez karocę, w której szyby były właśnie podniesione, i to nawet o nic nie zawadzwszy, żem ledwie zdążył zerwać z głowy kapelusz, by siedzące w karecie damy za tę śmiałość w przelocie uniżenie przeprosić. Innym znów razem chciałem przesadzić bagno, które mi się na pierwszy rzut oka nie zdało tak szerokie, jak mogłem się o tym przekonać, gdym w połowie skoku nad nim się znalazł. Szybując w powietrzu, obróciłem się tedy w tę stronę, skąd się do skoku porwałem, aby wziąć większy rozpęd. Dałem znów susa, który i tym razem okazał się za krótki, tak iż wpadłem w bagno aż po szyję. Utonąłbym niechybnie, gdyby nie moja siła. Trzymając bowiem konia krzepko kolanami, wyrwałem się z bagna, ciągnąc się za własny harcap ręką.

Pytania do tekstu:

- co uważasz i myślisz na temat niniejszego tekstu?
- Co jawi się w Twojej głowie?

## BURZA

Gdyśmy już od brzegu odbili, rozpętała się straszliwa burza, która w parę godzin poszarpała nam wszystkie żagle, rozplątała maszt i obaliła reję. Reja runęła na schowek, gdzie był schowany kompas, i rozbiła go na kawałki wraz ze skrzynką. Wie każdy, kto na morzu bywał, jakie skutki pociąga za sobą taka strata. Ani w prawo! Ani w lewo! Wreszcie jednak burza uspokoiła się i powiał łagodny, pomyślny wiatr. Żeglowaliśmy trzy miesiące i przebyliśmy już wielki kawał drogi, gdyśmy spostrzegli, że wszystko wokół uległo zadziwiającej odmianie. Było nam lekko i radośnie. Wdychaliśmy balsamiczne wonie. Morze także zmieniło barwę: nie było zielone, ale białe. Wkrótce po tej przedziwnej odmianie ujrzeliśmy ląd i niedaleką przystań, ku której jęliśmy żeglować. Wydała nam się szeroka i daleko sięgająca w ląd. Nie wypełniała jej wszakże woda, ale smakowite mleko. Wylądowaliśmy i - wyobraźcie sobie! - wyspa ta był to olbrzymi ser! Może byśmy wcale o tym się nie dowiedzieli, gdyby nas niezwykły przypadek na trop tego odkrycia nie naprowadził. Był mianowicie na naszym okręcie pewien marynarz, który miał wrodzony wstręt do sera. Wsiadłszy na ląd zemdłał natychmiast. Gdy oprzytomniał, zaczął błagać, by mu zabrać ser spod nóg. Sprawdziliśmy rzecz dokładnie i okazało się, że ma słuszość. Cała wyspa była jednym olbrzymim serem. Toteż mieszkańcy jej przeważnie nim się żywili, a co ujedli w dzień, to odrastało nocą. Ujrzeliśmy tu mnóstwo winorośli, a na nich piękne, wielkie winogrona, które przy tłoczeniu wydawały z siebie mleko. Mieszkańcy byli wielce przystojnymi stworzeniami. Wzrostu mieli przeważnie dziewięć stóp. Trzymali się prosto, mieli po trzy nogi i po jednej ręce, a gdy wchodzili w wiek dojrzały, wyrastał im na czole róg, którego używali z wielką zręcznością. Urządzali oni wyścigi po powierzchni mleka i bynajmniej nie tonąc zażywali po nim przechadzki, jak my po łące. Na tej łące, chcę właściwie powiedzieć: na tym serze, rosły szerokie łąny żyta o kłosach podobnych do grzybów, w nich zaś tkwiły chleby wypieczone, że można by je jeść choćby i zaraz. Wędrując po tym serze napotkaliśmy siedem rzek mlecznych, a dwie winne. Po szesnastodniowej wędrówce przybyliśmy na brzeg przeciwległy temu, przy którymśmy wylądowali. Znaleźliśmy tu wielki obszar spleśniałego, całkiem już zielonego sera, którym znawcy tak się zachwycają. Zawróciliśmy ku naszemu okrętowi, a żeśmy wracali inną drogą, napotkaliśmy na niej mnóstwo niezwykłych, nieznanych osobliwości. Już od okrętu dzieliło nas tylko dwa dni drogi, gdyśmy ujrzeli trzech ludzi wiszących za nogi na wysokim drzewie. Zapytałem tedy, co złego uczynili, że ich spotkała tak sroga kara. Dowiedziałem się, że byli za granicą, a po powrocie okłamali swoich przyjaciół, opowiadając im o okolicach, których wcale nie widzieli, i o przygodach, które wcale się nie zdarzyły. Uważam tę karę za wielce sprawiedliwą: największym bowiem obowiązkiem podróżnika jest nie mijać się z prawdą. Natychmiast po przybyciu na okręt podnieśliśmy kotwicę i odpłynęliśmy od tego niezwykłego kraju. Żeglowaliśmy przez trzy dni tam i sam, bośmy przecież nie mieli kompasu, i wreszcie wypłynęliśmy na morze, które zdawało się całkiem czarne. Spróbowaliśmy tej niby to czarnej wody i - patrzcież! - okazała się wybornym winem! Było dość roboty z upilnowaniem marynarzy, aby się nie wszyscy na raz upijali.

Pytania do tekstu:

- co uważasz i myślisz na temat niniejszego tekstu?
- Co jawi się w Twojej głowie?

## ŚWIAT POŻARTY PRZEZ POTWORA

Niestety spostrzeżliśmy za późno potwora. Był już bardzo blisko i oto nagle nasz okręt, ze sterzcącymi masztami, na pełnych żaglach wpadł do paszczy, pomiędzy zęby potwora, przy których maszt największego wojennego okrętu wydałby się maluśką drzazgą! Leżeliśmy już w paszczy czas niejaki, gdy potwór rozwarł ją nieco, wciągnął olbrzymi łyk wody i okręt, który, jak się łatwo domyślić, nie był małym kęskiem, spławił w dół, do żołądka. Tu utkwiliśmy spokojnie, jakby przykotwiczeni w śmiertelną morską ciszę. Powietrze było – trzeba przyznać – i ciepławe, i nieco niemile. Znaleźliśmy tu kotwice, liny, łodzie, szkuty i znaczną ilość okrętów, naładowanych i nie naładowanych, połkniętych przez ową stworę. Wszystko byliśmy zmuszeni czynić przy pochodniach. Nie świeciło tu bowiem ani słońce, ani księżyc, ani gwiazdy. Co dnia byliśmy dwa razy na wysokich wodach, a dwa razy – opieraliśmy się o dno. Gdy zwierz pił – mieliśmy przyptywy, a gdy wody wypuszczał - osiadaliśmy na dnie. Zwykle wciągał w siebie mniej więcej na raz tyle wody, ile mieści w sobie Jezioro Genewskie, choć ma ono przecież trzydzieści mil obwodu. Drugiego dnia naszej niewoli w tym mrocznym królestwie odważyliśmy się z kapitanem i paroma oficerami zrobić mały wypad podczas odpływu, jakeśmy zwali czas, gdy okręt osiadał na dnie. Zabraliśmy z sobą pochodnie i spotkaliśmy w drodze z dziesięć tysięcy ludzi wszystkich narodowości. Właśnie zamierzali się naradzić, jak mamy wszyscy wolność odzyskać. Niektórzy spędzili w żołądku zwierza ładnych parę lat. Już przewodniczący zebrania miał przedstawić całą sprawę, w jakiejśmy się zgromadzili, gdy naszemu przekłętemu rybsku pić się zachciało. Zaczęło tedy chłeptać wodę, która wdarła się weń z taką siłą, że pozostało nam tylko albo umykać ku naszym okrętom, albo utonąć. Niektórzy ratowali się wpław i z trudem uszli śmierci. Lepiej powiodło nam się w parę godzin potem. Gdy bowiem potwór się wypróżnił, zgromadziliśmy się znowu. Że wybrano mnie teraz na przewodniczącego, doradziłem tedy, aby spoić dwa największe maszty i gdy potwór otworzy paszczę – zastawić ją nimi na sztorc tak, aby jej zamknąć nie mógł. Rada ta została przyjęta i wybraliśmy stu silnych chłopów do tej roboty. Ledwieśmy maszty przysposobili, trafiła się sposobna okoliczność, aby mój zamiar wykonać. Potwór ziewnął, a my natychmiast wbiliśmy mu spokojnie maszty pomiędzy szczęki tak, że dolny koniec sięgał poprzez ozór do podgardla, a górny – tykał podniebienia. Prawdziwie: było całkiem niemożliwe, aby zamknął pysk, nawet gdyby nasze maszty nie były tak mocne. Że teraz w żołądku wszystko pływało, obsadziliśmy parę łodzi ludźmi a ci powiosłowali z nami w szeroki świat. Trudno wypowiedzieć, jak błogo było ujrzeć światło dzienne po tej – licząc na oko – dwutygodniowej niewoli.

Skorom tylko na suchym lądzie nogę postawił, ruszyłem do Petersburga, gdzie otrzymał wielce cenny dar od starego przyjaciela. A mianowicie myśliwskiego psa, który pochodzi od owej słynnej suki, która, jak wam już, panowie, opowiadałem, oszczeniła się, goniąc zająca. Niestety, wkrótce potem ustrzelił mi ją niezręczny myśliwy, który zamiast w stado kuropatw, w psa wycelował. Ze skóry tego zwierzęcia kazałem sobie uszyć tę oto kamizelę. Chadzam w niej zawsze na łowy, bo ma ona taką właściwość, że zawsze w niej tam trafiam, gdzie jest najwięcej zwierzyny. Gdy się do jakiegoś zwierzęcia zbliżę na odległość strzału, od mojej kamizeli odlatuje guzik i pada na to miejsce, gdzie zwierz się schował.

### **Pytania do tekstu:**

- co uważasz i myślisz na temat niniejszego tekstu?
- Co jawi się w Twojej głowie?